

Puste miejsce w szkolnej klasie

16 grudnia 2014

Pani Joannie Zbierskiej – z wdzięcznością.

Warto dobrze wsłuchać się w dzwonki, które codziennie rozbrzmiewają w polskich szkołach, bo coraz częściej dzwonią one na alarm. Nie pierwszym pewnie, ale wartym odnotowania głosem w tej dyskusji, był tekst Antoniego Michnika, który po ostatnich wyborach europejskich wskazał na genetyczny związek sukcesu ugrupowania Janusza Korwin-Mikkego z ideologią polskiej szkoły – radykalnym indywidualizmem, zanikiem myślenia w kategoriach dobra wspólnego, podsycaniem rywalizacji kosztem skłonności do współpracy, postrzeganiem świata społecznego w kategoriach ekonomizmu, gdzie obowiązują reguły gry o sumie zerowej, w której sukces jednych musi zasadzać się na porażce innych. Wreszcie, o czym Michnik także wspomina, mamy do czynienia z systemem odzwierciedlającym nierówności społeczne. Jaskrawy wyraz tej tendencji stanowi rozwój szkolnictwa prywatnego, w którym udział postrzegany jest jako wyznacznik sukcesu i wyższego statusu. Zgadzam się, że opis polskiej szkoły – i szerzej, systemu edukacji – jako laboratorium bezlitosnej rywalizacji, jest trafny. Wymaga jednak uzupełnienia. Majaczyło mi ono w głowie już wcześniej, ale wskutek ostatnich wydarzeń nabrało nareszcie wyraźniejszych kształtów.

Piszę te słowa wkrótce po tym, gdy Państwowa Komisja Wyborcza podała do publicznej wiadomości z mozołem obliczone wyniki wyborów samorządowych. Jeśli wybory są „źrenicą demokracji”, to te ostatnie dały okazję, by w tę źrenicę zajrzeć i przestraszyć się nie na żarty skalą zaniedbań i erozji godności instytucji publicznych. Nie trafiają do mnie zabarwione poczuciem wyższości i tanią uciechą drwiny tych, którzy z lubością przypominają słowa byłego ministra o „kupie

kamieni”. Uważam, że pora naprawdę się zatrwożyć, nie zaś wekslować wszystko na tory kpin, w których szczytem refleksji są memy internetowe – równie efemeryczne, jak troska naszych dowcipnisiów o działanie państwa. A to właśnie państwo pozostaje głównym przegranym tych wyborów.

Kto je wygrał – trudno na pierwszy rzut oka ocenić. Jeśli jednak miałbym wskazywać zwycięzców, to wybór padłby na formację nie polityczną, lecz umysłową, która w państwie i jego obecności w życiu społecznym widzi wroga. Zwyciężył duch Janusza Korwin-Mikkego, ale on sam jest jedynie wierzchołkiem góry (niekoniecznie zresztą lodowej), która w neoliberalnych atlasach podpisywana jest nazwami Deregulacja, Tanie Państwo, a nawet Wolność. Góra ta nie wypiętrzyła się ani podczas ostatnich, ani poprzednich wyborów. Dopiero teraz jednak widać ją tak wyraźnie, bo zajęła wiele obszarów potencjalnej polityki państwa i, prawdę powiedziawszy, ma zarówno cechy góry, jak i depresji. Na dostępnych mi mapach zajmuje ona między innymi teren przynależny systemowi oświaty. Jej nazwy to: Abdykacja, Kapitulacja lub Walkower. Przywołaną wcześniej diagnozę Antoniego Michnika uzupełnić należy zatem o obserwację, że szkoła może wychowywać instytucjom państwowym wrogów nie tylko za sprawą jakiegoś podboju ideowego. Przyczyną pierwotną wydaje się wycofywanie się państwa z obszarów, gdzie powinno ono prowadzić świadomą i aktywną politykę społeczną.

Nie na moją głowę pogłębione i szczegółowe raporty, jestem wszak tylko byłym uczniem i byłym nauczycielem, który trochę w szkole i okolicach przeżył i zobaczył. Najpierw, jeszcze w liceum, widywałem moich nauczycieli sprzedających z łóżek polowych biustonosze. Widywałem też znakomitych wychowawców i nauczycieli matematyki, którzy odchodzili ze szkoły do banku, bo mieli dwójkę dzieci. Działo się to na początku lat 90., gdy trwoniono w systemie oświaty kapitał talentu i doświadczenia, który powinien procentować przez wiele lat. Patrzyłem zatem (choć może jeszcze wtedy jej nie widziałem) na zdradę, której

ofiara padli nauczyciele jako grupa zawodowa – spauperyzowana i upokorzona, złożona na ołtarzu transformacji wraz z innymi przedstawicielami profesji inteligenckich.

Nieco później, już na studiach, widywałem źle opłacanych wykładowców, którzy z czasem obejmowali kolejne katedry w szkołach wyższych jedynie z nazwy, obsługujących pozornych beneficjentów boomu edukacyjnego. W tym samym czasie specjalizacje nauczycielskie na studiach wyższych postrzegane były przez większość studentów jako absolutna ostateczność na ścieżce kształcenia zawodowego. Wreszcie, na przełomie wieków, państwo nasze przeprowadziło reformę systemu edukacji, przekazało finansowanie szkół samorządom i wprowadziło kolejne regulacje zasad awansu zawodowego nauczycieli.

Co z tej reformy wynikło, wiemy dziś doskonale. Pracę szkoły poddano rachunkowi ekonomicznemu, gdzie niska cena stała się najważniejszym kryterium. Nic więc dziwnego, że w małych miejscowościach samorządy decydowały o zamykaniu placówek, w większych zaś wiele szkół przekazuje się podmiotom prywatnym lub stwarza warunki, w których szkolnictwo niepubliczne zajmuje uprzywilejowaną pozycję. Jednocześnie do obłędu doprowadzono biurokrację, formalizm i suchą kwantyfikację w procesie kształcenia. Dotyczy to w równej mierze nauczycieli – zbierających zaświadczenia i wypełniających dokumentację szkolną – jak i uczniów, którzy od najmłodszych lat rozwiązują testy, zdają egzaminy, składają podania i, poddani presji rywalizacji, gryzą paznokcie.

W trakcie wprowadzania reform stało się jasne, że proces kształcenia dehumanizuje się, a relacje nauczyciela i ucznia podlegają uprzedmiotowieniu. W warunkach wyścigu szczurów „tanie państwo” oznacza w szkole redukcje zatrudnienia, przepełnienie klas, brak przestrzeni dla samorealizacji uczniów i nauczycieli, dla sztuki nauczania, dla głębszego związku nauczyciela i ucznia. Sztuka niepostrzeżenie stała się usługą, uczenie się – współzawodnictwem i skrupulatnie kalkulowaną inwestycją, szkoła – zatłoczoną edukacyjną

siłownią.

Stało się jednak coś jeszcze. Neoliberalna doktryna doprowadziła do tego, że w społecznym obrazie zawodu nauczycielskiego pojawia się coraz wyraźniejsze przekonanie, że jest to obsypywany podwyżkami darmożjad, cieszący się niesłusznymi przywilejami wynikającymi z zapisów Karty Nauczyciela. Wiedzę o pokładach niechęci do nauczycieli czerpać można z lektury forów internetowych, z podsłuchiwania rozmów w autobusach, ale także z rzekomo ambitnej prasy, gdzie przez długie lata „rozbudowane przywileje nauczycielskie” przedstawiano jako nieledwie główne źródło zła w systemie edukacji i – posłużmy się tą kalką – jego nieprzystosowania do wymogów współczesnego, elastycznego rynku pracy. O Karcie Nauczyciela oraz o jakości pracy objętych jej przepisami pracowników można i należy dyskutować, jak o wszystkim, co dotyczy sposobu funkcjonowania państwa i jego instytucji. Jednak w tym przypadku dyskusja przekształca się częstokroć w nagonkę, tym łatwiejszą do przeprowadzenia, im więcej na rynku pracy „elastyczności”, wymuszanej ręką wolnego rynku, twardą i niekoniecznie niewidzialną.

Kosztów takich nagonek, które uderzają również w innych urzędników, nie można wycenić, można się ich jedynie domyślać i je szacować. Nauczyciel, zdegradowany finansowo w latach 90., bywał później deprecjonowany moralnie. Jeśli uzyskiwał kolejne stopnie awansu zawodowego i zyskiwał większe zarobki, stawał się dla systemu finansowania oświaty ciężarem, a dla posługujących się neoliberalnym dyskursem – pasożytem.

Te procesy przenikały do jądra jego pracy, gdzie zdarzało mu się doświadczać poniżenia. I nie chodzi tu koniecznie o zakładanie na głowę kosza na śmieci. Uczniowie są ludkiem pojętnym i często okrutnym, niektórzy wiedzą, o czym rozmawiają i ile zarabiają ich rodzice. Trudno się dziwić erozji autorytetu nauczyciela w świecie, gdzie zawartość portfela uznawana jest za wartość najwyższą. Dyskomfort musiało pogłębiać to, że przytłoczony biurokracją i obsesją

przygotowywania do testów nauczyciel miał coraz mniej czasu na osobiste spełnianie się w zawodzie i samokształcenie, do którego jest przecież zobowiązany.

Ale nauczyciel to nie tylko osoba, nie tylko zawód. Nauczyciel jest urzędnikiem. W życiu młodych ludzi właśnie on jest pierwszą instancją państwa, z którą się spotykają. A jakość spotkania ma niebagatelne znaczenie dla autorytetu tego ostatniego. Niestety, szkoła finansowo zdegradowana, szkoła „taniego państwa”, szkoła z przeceny, może oznaczać, że w powszechnym odbiorze na przecenę trafi także samo państwo, a wszelkie instytucje „utrzymywane z moich zbyt wysokich podatków” staną się łatwym celem dla wszelkich neoliberalnych populizmów.

Skądinąd, skoro już o populizmach mowa, nie ulega dla mnie wątpliwości, że próby budowania autorytetu szkoły, nauczyciela i państwa za pomocą przymusowego ubierania uczniów w mundurki, montowania kamer monitoringu oraz sankcji karnych, jak przed kilkoma laty, przez swoją doraźność i karykaturalność jedynie pogorszyły sytuację. Niestety, podobny pośpiech i doraźność obserwowaliśmy niedawno przy okazji wprowadzania ujednoliconego podręcznika dla klas pierwszych. Ten krok, wart docenienia, bo podważający dominację komercji w dziedzinie oświaty i świadczący o dostrzeżeniu popełnionych wcześniej błędów, rokuje dobrze, ale nie może być ostatnim. Kolejne uwidocznią, miejmy nadzieję, że państwo energicznie kształtujące publiczną oświatę działa w interesie wszystkich obywateli, także słabszych.

Ilekroć, tak jak teraz, myślę o kryzysie szkoły i państwa, przypomina mi się zdanie wypowiedziane przez francuskiego męża stanu Leona Gambettę. Wiedział on dobrze, jak wygląda kryzys państwa. Oglądał go z niecodziennej perspektywy, bo z gondoli balonu, którym jesienią 1870 r. uciekał z Paryża obleżonego przez Prusaków. Mając w pamięci tamtą traumę, formułował po latach postulat wynikający z jej przemyślenia: „Prawdziwym zwycięzcą pod Sedanem był pruski nauczyciel; nauczyciel

francuski ma wygrać wojnę następną". Z tego gruntu wyrosła reforma francuskiego szkolnictwa, oparta na paradygmacie republikańskiej edukacji obywatelskiej i laickości, kształtowana przez państwo, a później – wyraźnie oddzielająca sfery edukacji publicznej i prywatnej. Francuski system oświaty do dziś opiera się na zbudowanych wówczas podstawach. Byłem przez siedem lat nauczycielem we Francji i – proszę mi wierzyć – system ten, pomimo trudności, działa. A ja sam wyniosłem z niego i to wspomnienie, że nauczyciel francuski potrafi walczyć, także strajkiem, o szkołę, w której wolność, równość i braterstwo są nie tylko hasłami, lecz poważnie traktowanymi celami. Potrafi i chce, bo czuje się szanowany i społecznie chroniony, jeśli nawet nie zawsze jest dobrze opłacany.

Przytoczone słowa Gambetty wpadły mi w ucho po raz pierwszy dawno temu, na lekcji historii. Rzucone en passant przez nauczycielkę łączącą cechy erudytki, pruskiego belfra i Sokratesa. Dziś może zostałaby ze szkoły zwolniona, bo trzymała uczniów krótko, zawracała im głowy bezużyteczną wiedzą, niewpisującą się w tzw. klucz, a zamiast przygotowywać do egzaminów – uczyła. Odeszła ze szkoły po półtora roku tak, jak się w niej pojawiła – bez zapowiedzi, pozostawiając najlepsze wspomnienia i długi wdzięczności. Dziś wliczam do nich wyniesione z lekcji przekonanie, że polski nauczyciel także wygrywał swoje wojny i niejedną jeszcze może wygrać. Bo nie tylko Francuzi wyciągali w przeszłości wnioski ze swoich klęsk i niepowodzeń. Polska historia roi się od nich, ale nie brakuje w niej także nauki wyciąganej z porażek. Zastanawiające jest, jak często odpowiedzią na narodowe klęski były inicjatywy edukacyjne. Komisja Edukacji Narodowej, tajne komplety, poradniki dla samouków, strajki szkolne, latające uniwersytety – to wszystko działo się często w sytuacjach zagrożenia lub upadku własnej organizacji państwowej, a więc w warunkach skrajnie trudnych. Dziś nasza sytuacja jest lepsza o tyle, że narzędzia kształtowania polityki instytucji publicznych mamy w zasięgu ręki. Wobec ich kryzysu i rozkwitu

anty państwowych populizmów przypomnijmy sobie o etosie polskiego nauczycielstwa oraz państwowotwórczej roli edukacji, bo wielokrotnie już nauczyciel zastępował wszystkich urzędników, a szkoła – całe państwo.

Na początek powinniśmy jednak otrzeźwieć i przypomnieć sobie, że klasa szkolna to przyszłe społeczeństwo. I że państwo musi zapracować w niej na szacunek – prowadząc politykę nie tylko symboliczną, ale i społeczną. Jeśli wycofa się z klasy szkolnej, ryzykuje wymazanie się z przyszłości. Dlatego nie stać nas ani na tanie państwo, ani na taną szkołę. Państwo musi wrócić do szkoły, zająć miejsce, które opuściło, i wyraźnie powiedzieć: „Obecny!”.

Autor: Michał Wójtowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)